


MOJE HOBBY

Rozmowa profesora Janusza Skoczylasa z profesorem Jerzym Fedorowskim, byłym rektorem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Prof. dr hab. Janusz Skoczylas (J.S.): Panie Profesorze, znane i doceniane są pańskie osiągnięcia zawodowe i działalność społeczna, jednak, pomimo ponad półwiecznej znajomości z Panem, niewiele wiem o pańskich pasjach i zainteresowaniach nie związanych z pracą.

Prof. dr hab. Jerzy Fedorowski (J.F.): Miałem w życiu sporo rozmaitych pasji, nie licząc tej głównej, czyli badań koralowców, ale przecież nie o to Pan pyta. Pozawodowo miałem w zasadzie kilka szczególnych zainteresowań, które trwały przez całe życie albo przez znaczną jego część. To przede wszystkim czytanie książek, które do dzisiaj kultywuję, spacerowanie po lesie (ryc. 1), niestety z przyczyn zdrowotnych już obecnie ograniczone, oraz fotografowanie dzikich kwiatów. Ta ostatnia pasja to już w zasadzie przeszłość.

J.S.: Jak wcześnie oddał się Pan lekturze książek? Przypuszczam, że początkowo były to lektury dziecięce?

J.F.: Nie we wczesnym dzieciństwie – w czasie, kiedy chodziłem do szkoły, najpierw uczono stawiania pałeczek i kółeczek między liniami, dopiero potem uczono czytać poszczególne litery, składać słowa i zdania. Moja pamięć podpowiada mi, że zacząłem czytać książki mniej więcej w wieku 10–11 lat. Niestety, nie były to lektury dziecięce, bo moja mama, choć miała sporą biblioteczkę jak na swoje nikłe wykształcenie, to wśród nich nie było żadnych książek z kręgu literatury dziecięcej. Zatem zacząłem czytać od razu poważne książki, a nawet sądzę, że dla mojego ówczesnego wieku, zbyt poważne.

J.S.: Czy pamięta Pan jakieś szczególne przeżycia czy zdarzenie wynikające z lektury tych książek?

J.F.: Najbardziej bolesna była lektura *Quo Vadis* Henryka Sienkiewicza. Mama miała na półce oprócz *Quo Vadis*, także bardzo piękne, pochodzące chyba z 1910 r., wydanie *Trylogii*, ale ja złapałem najpierw za *Quo Vadis*. Przeczytałem sporą część tej książki i po prostu zachorowałem. Moja bardzo bujna wyobraźnia, która nieraz mi ułatwia życie i pozwala wizualizować rozmaite fakty i zdarzenia, wtedy spowodowała, że zacząłem sobie zbyt plastycznie wyobrażać wszystko to, co Sienkiewicz tak pięknie opisał i... dostałem gorączki trwającej kilka dni. To było pierwsze tak bolesne zetknięcie z literaturą. Oczywiście później dobrałem się do pozostałych dzieł Sienkiewicza i zakochałem się w *Trylogii*. Moja żona śmieje się ze mnie, gdy po raz kolejny sięgam po to arcydzieło literatury i pyta: *Który raz to czytasz? Setny czy dopiero pięćdziesiąty?* Odpowiedź rzeczywiście jest trudna, bo przez całe życie woziłem ze sobą w podróży służbowych małe, kieszonkowe wydanie *Potopu* i nie wiem ile razy przeczytałem tę powieść. Ale nie tylko *Trylogia* była moją towarzyszką, woziłem także *Rozmyślenia* Marka Aureliusza



Ryc. 1. Profesor Jerzy Fedorowski w lesie. Fot. D. Kasztelan

za i *Przemyślenia* Marka Aureliusza. To były lektury z jednej strony dające bardzo do myślenia, a z drugiej jakoś mnie wyciszały. Sam nie wiem, dlaczego Szwajk, mimo całej okropności wojny, którą przeżywał, mnie bardzo uspokajał. Może dlatego, że on do wszystkiego podchodził z ogromnym dystansem? Palił tę swoją fajeczkę, popijał piwko, gwarzył z różnymi ludźmi i pozornie nic sobie nie robił z *przesławnego lania*. Z kolei przyznawanie się do lektury Marka Aureliusza po tym, jak jakiś polityk pochwalił się czytaniem jego *Rozmyślań*, jest dzisiaj ze względu na politykę dość wstydlive. Chciałbym jednak zapytać owego polityka, czy zapamiętał z lektury *Rozmyślań* taki prosty cytat: *To, co jest dobre dla roju, jest dobre dla pszczoły*. Czy on to stosuje w swojej politycznej codzienności? Czy też uważa odwrotnie, jak większość polityków, że to, co jest dobre dla pszczoły, musi być dobre dla roju?

J.S.: A w okresie późniejszym po jakie książki Pan sięgał?

J.F.: Później czytałem i właściwie nadal czytam wszystko, co mi w rękę wpadnie. Bardzo boleję nad tymi

młodymi ludźmi, którzy nie czytają lektur szkolnych. Ja czytałem je od deski do deski i jeszcze dużo, dużo innych ponadto. Znam wszystko to, co napisali Stefan Żeromski, Władysław Reymont, Eliza Orzeszkowa, Henryk Sienkiewicz, Adam Mickiewicz i inni polscy klasycy. Niedawno nawet wypożyczyłem z biblioteki *Nad Niemnem. Dolina Issy* Czesława Miłosza jest po prostu płaska w porównaniu z tym monumentalnym arcydziełem Elizy Orzeszkowej. Tylko trzeba je umieć czytać. Tymczasem trafiłem na egzemplarz przygotowany dla uczniów. Zamieszczono w nim podpowiedzi typu, co autorka miała rzekomo na myśli w takim czy innym fragmencie dzieła. To jest żenujący przykład zabijania w młodzieży wyobraźni, inwencji twórczej i zainteresowania literaturą, a w efekcie samej chęci czytania. Dziwię się niezmiernie, że książki z takimi przypisami w ogóle się publikuje.

Pan Tadeusz jest jedną z moich ulubionych lektur, do której wracam do dziś. Mam zresztą zgromadzone wszystkie dzieła Adama Mickiewicza w eleganckim wydaniu sprzed kilkudziesięciu lat. Wtedy zresztą kupiłem także całego Juliusza Słowackiego. U Mickiewicza jest tyle urokliwych zdań, tyle mądrości i po prostu tyle piękna, że bardzo się dziwię, kiedy ktoś mówi, że tego nie dostrzega. Nie rozumiem też pomysłów ograniczenia w szkole lektury *Pana Tadeusza* do kilku fragmentów.

J.S.: Kto z zagranicznych autorów zrobił na Panu największe wrażenie?

J.F.: Do końca lat 50. XX w. był kłopot z dostępem do literatury zachodniej przetłumaczonej na język polski. W tamtym czasie wydawano głównie tzw. produkcyjniaki, czyli powieści propagujące zasady realizmu socjalistycznego. Czytałem je także i pamiętam, że jedna z nich nosiła tytuł *Mirków ruszył*. Ale wtedy czytałem przede wszystkim książki Jerzego Putramenta, Wojciecha Żukrowskiego, Eugeniusza Paukszy i, oczywiście, Jerzego Andrzejewskiego.

Mniej więcej w połowie lat 60. XX w., a więc za czasów późnego Gomułki, pojawiło się mnóstwo pięknych, doskonale wydanych przekładów literatury amerykańskiej. Zaczęto bodaj od Jacka Londona. Wtedy uważało się, słusznie zresztą, że to był człowiek pochodzenia proletariackiego, który dzięki swoim zdolnościom i talentowi, stworzył bardzo interesującą literaturę.

Dla Sowietów i dla polskich władz komunistycznych najważniejsze były dwie pozycje Londona: *Martin Eden* i *Mieszkańcy otchłani*. Obie były krytyką kapitalizmu i dlatego znalazły się na czele polecanych powieści tego pisarza. „Właściwe” pochodzenie Londona mogło być powodem wydawania również jego pozostałych książek. Pojawił się więc w księgarniach bardzo naturalistyczny *Wilk morski* i wiele innych książek przeciwnych komunizmowi i apoteozujących kapitalizm i jego dokonania.

Wielkie wrażenie wywarli na mnie natomiast klasyki literatury amerykańskiej tamtego czasu – John Steinbeck, Erskine Caldwell i Ernest Hemingway. Szczególnie polubiłem natomiast Williama Faulknera. To jest literatura dla mnie wręcz niezapomniana. Ale, co ciekawe, ja nie wierzyłem, że to, co on opisuje, mogło się naprawdę zdarzyć w Stanach Zjednoczonych. Myślałem, że on sobie wymyśla jakieś historie albo opowiada o zdarzeniach z XIX w.

Kiedy w 1972 r. dostałem stypendium postdoktorskie Smithsonian Institution i opracowywałem permskie koralowce z Glass Mountains, doktorzy G. Arthur Cooper i Ri-

chard E. Grant, badacze ramienionogów z *Department of Paleobiology*, planowali podróż do południowo-zachodniego Teksasu w celu uzupełnienia swoich zbiorów i zaproponowali, żebym z nimi pojechał. Z radością się zgodziłem i proszę sobie wyobrazić, że z Waszyngtonu jechaliśmy samochodem przez stany wschodnie i południowe, aż do małej miejscowości Marathon. Podczas owej podróży zobaczyłem na własne oczy wszystko to, co William Faulkner opisywał. Widziałem zatem domki zbudowane z takich desek, że szpary prześwitywały na wylot. Wszystkie były otoczone ogromnymi werandami. U „zamożnych” ludzi na werandzie stały pralki poświadczające ową zamożność. Przed domami wały się wraki samochodów – tym liczniejsze, im właściciel posesji był uboższy. Kupował bowiem najbardziej zużyte auta, a nie stać go było na ich złomowanie. Te wraki nadawały się jeszcze do jazdy po lątyfundiach, ale nie miały licencji na jazdę po drogach publicznych. Ludzie mieszkający w tych domkach, niemal bez wyjątku czarnoskórzy, pracowali u białych lątyfundystów. Widziałem też posiadłość takiego lątyfundysty. Był tam ogromny, zielonutki trawnik. A gdzieś daleko, prawie na horyzoncie, stał biały pałac. Jak się popatrzyło przez lornetkę, to można było dostrzec ogrom rezydencji. Wszystko wypisz wymaluj jak w trylogii Faulknera *Zaścianek, Intruz i Rezydencja*.

J.S.: Dotąd mówił Pan o literaturze zachodniej, a jakie wrażenie zrobiła na Panu literatura rosyjska i radziecka?

J.F.: O literaturze rosyjskiej wszyscy sporo wiemy, bo czytaliśmy Iwana Turgieniewa, Fiodora Dostojewskiego czy Lwa Tołstoja. Oprócz Lwa Tołstoja był także radziecki pisarz Aleksy Tołstoj. Dzięki lekturze jego książki *Piotr I* zrozumiałem mentalność ludzi rosyjskich i radzieckich. W Związku Radzieckim, a także później, dosłownie czczono Piotra I. A dlaczego? Otóż dlatego, że był pierwszym carem, który wyprowadził zapyziałą Rosję z nicości i zrobił z niej potęgę, a Rosjanom zaszczylił imperialistyczną wzdargę dla innych nacji z równoczesnym poddańczym stosunkiem do władzy. Nieważne, czy był to car, sekretarz generalny czy prezydent. Dla Rosjan najważniejsza jest *moguczaja strana*, czyli potężna ojczyzna. Dla Piotra I istotne było to, że aby zbudować Piotrogród, poświęcono życie co najmniej 100 tysięcy dusz, czyli chłopów pańszczyźnianych, którzy zmarli, cywilizując bagna ujścia Newy. Zapomina się też, że Piotr I stłumił bunt strzelców, wieszając ok. 5 tysięcy ludzi na murach kremlofskich, co miało dać i dało efekt odstraszący przed podobnymi zakusami. Wszystko to zapomnieli ludzie radzieccy i współcześni Rosjanie, bo dla nich najważniejsza jest wspomniana *moguczaja strana*.

Oprócz Aleksiego Tołstoja warto wspomnieć także paru innych pisarzy radzieckich. Ilja Erenburg, pisarz żydowskiego pochodzenia napisał prześliczną książeczkę *Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwańca*. Pomijając jej treść, wyjaśnię ideę na jednym przykładzie. Otóż Lejzorek w pewnym momencie swego życia rozmnażał króliki na papierze. I rozmnożył tych królików tak wiele, że przyjechała specjalna komisja, żeby mu wręczyć medal za wielkie osiągnięcia radzieckie. Oczywiście okazało się, że tych królików w ogóle nie ma i Lejzorek miał kłopoty. Książka była potępiona przez Związek Radziecki i pisarzy radzieckich. Ilja Erenburg czym prędzej zmienił front i napisał mnóstwo innych książek, spośród których chyba najbardziej prosiwiecką była jego *Dziwiąta fala*.

Warto wspomnieć jeszcze o wspomniałym *Cichym Donie* i jej autorze – Michale Szolochowie, któremu nadano literacką nagrodę Nobla, ale, o ile pamiętam, Stalin zakazał mu ją przyjąć. Podobne były losy Borysa Pasternaka, któremu przyznano nagrodę Nobla za *Doktora Żywago*. Nie pamiętam, czy w końcu ją przyjął. Zawsze zastanawiałem się, jak tacy pisarze potrafili oddzielić swoją twórczość od rzeczywistości, w której żyli.

Był przecież także Michał Bułhakow ze swoim *Mistrzem i Małgorzatą* i *Białą gwardią*. Podobno Stalin identyfikował się z Behemotem i dlatego pozwolił na wydanie *Mistrza i Małgorzaty*, jak jednak udało mu się wydać tę drugą powieść?

Warto wspomnieć jeszcze bardzo mało znaną książkę Konstantina Siemionowa *Nikt nie rodzi się żołnierzem*. To historia kapitana wojsk radzieckich, który dostał się do niewoli niemieckiej, zakopał swoje dokumenty, jako się wyrwał z internowania, wrócił do Rosji i natychmiast stał się człowiekiem podejrzanym. Dla władzy radzieckiej znacznie ważniejszy od człowieka był papier. Poszanowanie istoty ludzkiej przez władzę nigdy w Rosji nie było i nadal nie jest w modzie. Jak mawiają: *Ludzie u nas mnogo*.

J.S.: Wróćmy do Pana zainteresowań starożytnością. Czy mógłby Pan podzielić się jeszcze swoimi wrażeniami i refleksjami na ten temat?

J.F.: Zawsze interesowałem się historią, jednak do okresu przełomu pomiędzy republiką rzymską a cesarstwem i do czasów pierwszych cesarzy rzymskich wróciłem dopiero w latach bardzo dojrzałych, prawie współczesnych. Fascynujący jest Wespazjan, który był cesarzem z prawdziwego zdarzenia po okresie szaleństw dynastii juliańsko-klaudyjskiej. Jest kilka pozycji świetnie opisujących ten okres. Bardzo podobał mi się mądry cykl Roberta Fabbri pod tytułem *Wespazjan*, który przedstawia historię życia cesarza od momentu, kiedy pojawia się w Rzymie jako młody chłopak, syn zwykłego centuriona, do czasu objęcia cesarstwa. Druga seria, trochę lżejsza, a nawet bardzo lekka, to cykl *Orły imperium* Simona Scarrow'a. To opis przygód Katona i Macro, oficerów rzymskiej armii. Katon zaczął w tej serii jako młody rekrut, wyzwolaniec pochodzący z dworu cesarskiego, a Macro pojawia się jako centurion. To naprawdę pouczająca lektura, nie typu zabili go, ale uciekł, lecz opowieść oparta na bardzo wielu faktach historycznych, która sporo mnie nauczyła.

Bardzo cenię sobie w historii także okres piastowski, więc chętnie sięgam po książki Karola Bunscha i Antoniego Gołubiewa. Ten pierwszy napisał serię *Opowieści piastowskie* i z tego cyklu chciałbym szczególnie wyróżnić siódmą część *Śladem pradziada*. Jest to książka o Bolesławie Śmiałym, jego podbojach, dziwactwach, ale przede wszystkim, w moim przekonaniu, odpowiada na pytanie, dlaczego Polska nie stała się potęgą? Autor tego wprawdzie nie sugeruje *implicite*, można jednak się domyślać, że było to nie na rękę papieżowi, a papież miał tutaj swojego, nie waham się tak powiedzieć, agenta – biskupa krakowskiego Stanisława Szczepanowskiego, który robił wszystko, żeby Polska potęgą się nie stała. Biskup popadł w konflikt z królem, który nakazał zabić duchownego. Za karę papież obłożył Bolesława Śmiałego klątwą, król wkrótce stracił koronę i został wygnany. Spoczywa prawdopodobnie w kościele w Osijak w Austrii, ale jak gdyby na zewnątrz – barierka zaznaczająca położenie grobu znajduje się bowiem za murem kościelnym. Byłem tam i widziałem to miejsce.

Czy król został tam rzeczywiście pochowany, tego nie wiem. Ale jeśli to prawda i jeśli polskie państwo dotąd nie zadbało o należyte uczczenie tego wielkiego króla, hańbi to wszystkie rządy polskie powołane po odzyskaniu przez nasz kraj niepodległości w 1918 r. Jeśli szczątków królewskich tam nie ma, należy zadbać o wykluczenie takiej sugestii.

J.S.: O jakich autorach chciałby Pan jeszcze wspomnieć coś, co mogłoby nas zainteresować?

J.F.: Przeczytałem mnóstwo książek i wciąż to robię. Czytam niemal wszystko, co trafi w moje ręce: *Wyznania* świętego Augustyna, *Trzech muszkieterów* Aleksandra Dumasa, *Uliksesa* Jamesa Joyce'a, ale też kryminały – z Agatą Christie na czele. Duże wrażenie zrobiła na mnie proza Camilla Lackberg i Henninga Mankella, którzy bohaterów swoich książek umieścili w bardzo ponurej wersji Szwecji. Szwecja w tych książkach jest zupełnie inna od tej, którą wydaje nam się, że znamy. Przyznam natomiast, że nigdy nie sięgnąłem po Marcela Prousta. Może dlatego, że komunizował.

Chciałbym też wspomnieć o czymś, co dla mężczyzny w moim wieku może być wstydlive. Otóż swego czasu czytałem z wielką przyjemnością cykl Lucy Maud Montgomery, rozpoczynający się *Anią z Zielonego Wzgórza*, i z jeszcze większą przyjemnością – wszystkie książki Małgorzaty Musierowicz (jedne i drugie podkładałem z półką mojej żony). Nie znam drugiej autorki, która by tak wnikliwie i tak pięknie charakteryzowała różne postaci dzieci i młodzieży, jak pani Musierowicz. Zapewne dlatego, że ma bodaj czworo własnych dzieci i bohaterów kreśliła na podstawie matczynych obserwacji. W okresie komuny, a szczególnie w czasie stanu wojennego te książki naprawdę wzruszały i bardzo mnie uspokajały. Budowały pozytywne nastawienie do przyszłości.

Myślę, że Małgorzata Musierowicz, w odróżnieniu od jej brata, Stanisława Barańczaka, jest autorką dość niedocenioną. Jej *Jeżyckiada*, a szczególnie, jak podkreślam po raz kolejny, jej charakterystyka postaci młodzieży i dzieci jest niezwykle subtelna, ale wyrazista i naprawdę warto tę autorkę promować.

J.S.: Na początku rozmowy powiedział Pan, że las to druga Pańska miłość.

J.F.: Zachwyty lasem rozpoczął się, zanim zacząłem czytać książki. Moje pierwsze wycieczki do lasu to wyprawy podczas lekcji jeszcze pod okupacją niemiecką. Pani Prausowa wyprowadzała nas do lasu koło Woli, przedmieścia Białej Podlaskiej. To przedmieście graniczyło wówczas z lasem. W trakcie tych wypraw zbieraliśmy grzyby, a nasza Pani mówiła nam, które są jadalne, a które trujące. Nauczyła nas wielu rzeczy o grzybach, a mnie zaraziła miłością do leśnych wypraw. Miałem we wczesnej młodości takie ulubione miejsce – nieduży, ale bardzo urozmaicony las okalający małą rzeczkę Rudka, dopływ Krzny. Meandrowała ona częściowo przez bagnisty ols, w którym rosły pokrzywy, porzeczki i dzikie winorośle. Do dzisiaj pamiętam przepiękny zapach tego olsu, który zwabiał mnie nieustannie do siebie. Ja zawsze byłem trochę samotnikiem, a w tym lesie czułem się tak, jakbym znalazł się gdzieś daleko, w jakimś odległym świecie, gdzie nie ma nikogo, bowiem nikt tym lasem nigdy nie chodził. Łowiłem malutkie rybki w tej rzeczce, zamieniałem się

w Old Shatterhanda, w Winnetou i w miarę potrzeby w innych bohaterów książek Karola Maya. Nieraz towarzyszyli mi koledzy, którzy przeistaczali się w przeróżne postacie. Ale to mi niekoniecznie było potrzebne. Z moją wyobraźnią doskonale sam potrafiłem się bawić w lesie. To była moja pierwsza leśna miłość.

Druga była niejako wymuszona. W 1958 r. zostałem zaangażowany do Pracowni Paleozoologii PAN w Poznaniu i miałem otrzymać mieszkanie po trzech miesiącach od rozpoczęcia pracy. Do tego czasu musiałem gdzieś mieszkać z rodziną. Niestety, nie znalazłem żadnego lokum w Poznaniu. Nikt nie chciał przyjąć rodziny z dwójką małych dzieci. W końcu znalazłem mieszkanie pod Poznaniem, w tzw. Letniku Leśnym należącym administracyjnie do Pobiedzisk.

Stacja kolejowa Promno, na której wsiadałem do pociągu, była odległa od stacji Poznań-Garbary o 19 kilometrów. Kolej była wtedy niezelektryfikowana, a nasze Letniko Leśne pozbawione elektryczności. Nie było wody bieżącej i oczywiście gazu – była tylko kuchnia z fajerkami. W tym domu spędziłem 6 lat, ponieważ mieszkania mi jednak nie dano. W tym czasie zakochałem się w pobliskim lesie. Był prześliczny i jest taki nadal. Częściowo znajduje się w Obszarze Natura 2000. Są tam małe oczka wodne, zróżnicowane polany, piękne dąbrowy. Trudno się w nim nie zakochać. Nawet po przeprowadzce do Poznania nadal tam jeździmy z żoną od czasu do czasu.

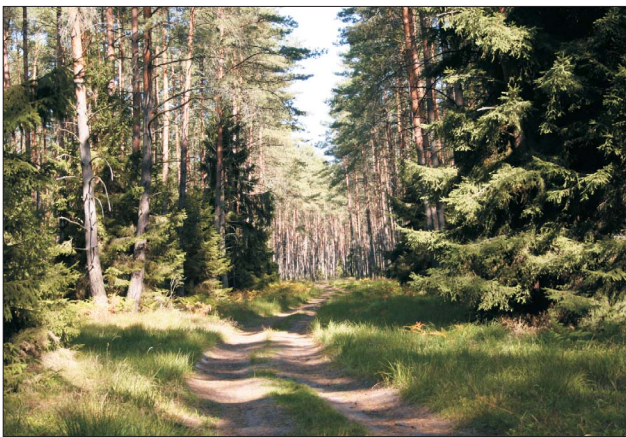
Trzecim moim ulubionym miejscem była i pozostaje Puszcza Notecka (ryc. 2–4), w której potrafiłem prze-wędrować 20, a nawet 30 kilometrów dziennie. Niestety,

moja najbardziej ulubiona część tego lasu spłonęła kilkanaście lat temu. Pociąg sypał iskry, jadąc z zaciśniętym hamulcem w jednym z wagonów. Zapaliły one uschłą trawę, później drzewa. Spłonął ogromny fragment puszczy, a żar był tak wielki, że częściowo spalone szyszki znajdowano potem 20 km od pogorzeliska. Potworna temperatura spowodowała kondensację pary wodnej i nagle urwanie chmury, które wygasilo cały pożar. Leśniczy mówił mi później, że z nieba spadł nagle wodospad.

J.S.: Mówił Pan Profesor o lesie, o drzewach, o różnego rodzaju owocach leśnych, o grzybach, no i także o kwiatkach. Kwiatami zainteresował się Pan tak bardzo, że uczynił z nich obiekty swojej fotograficznej przygody.

J.F.: Istotnie, kwiaty zawsze lubiłem, a tajniki ich fotografowania zademonstrował mi doktor G.A. Cooper podczas naszej wyprawy do Glass Mts. Używał sprzętu do fotografii makro, pozwalającej bardzo zbliżyć się do obiektu. Duży obraz kwiatu rzucony na ekran ukazuje całe jego piękno. Tak się tą techniką zachwyciłem, że kupiłem bardzo dobry aparat marki *Pentax* z soczewkami do fotografii makro. Zacząłem fotografować kwiaty i tak się w to wciągnąłem, że gdziekolwiek bym się nie zjawił, przede wszystkim szukałem kwiatów. Moi koledzy, z którymi jeździłem w teren, mają sporo zdjęć, na których leżą na ziemi z aparatem przy oku przed małym kwiatkiem.

Mam bardzo dużo fotografii kwiatów z różnych stron świata (ryc. 5–9). Chciałem nawet kiedyś wydać album, ale nigdy nie znalazłem czasu, by oznaczyć kwiaty gatunkowo.



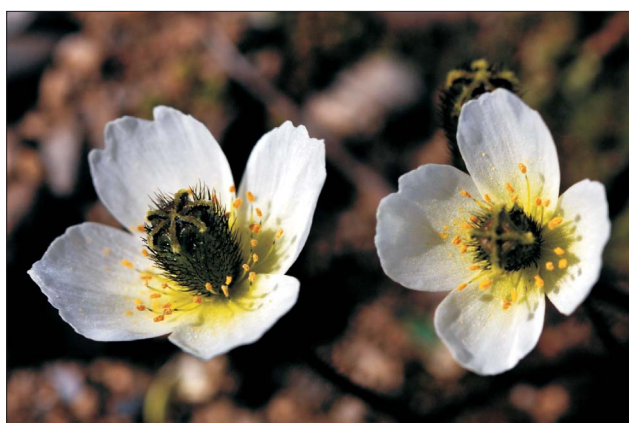
Ryc. 2. Puszcza Notecka latem



Ryc. 3. Oczko wodne w Puszczy Noteckiej



Ryc. 4. Puszcza Notecka zimą



Ryc. 8. Kwiaty tarniny – Puszcza Zielonka

Dla mnie ważne jest ich piękno, a nie nazwa. Zatem, niestety, albumów nie wydałem, ale fotografowanie dzikich kwiatów przez długi czas było moją pasją, chyba nawet większą niż chodzenie po lesie. Przynoczę na dowód zdarzenie, które, mówiąc półzartem, dyskwalifikuje mnie jako geologa i paleontologa. Otóż byłem służbowo w Austrii i profesor Helmut Flügel z Grazu zaproponował mi wycieczkę do odstonięcia permu w Alpach Karnijskich. Córka profesora zawiozła nas wążutką i krętą leśną drogą na wysoko położoną łąkę alpejską. Sterczała za nią ściana wapienia dolnopermskiego. Wstyd powiedzieć, ale ja do tego wapienia nigdy nie doszedłem. Łąka była pełna dzikich kwiatów. Pełzając po niej i namiennie je fotografując, nie zauważyłem, że piękna pogoda zaczęła się zmieniać i nadszła burza. Profesor Flügel czym prędzej zadzwonił do córki, która zabrała nas stamtąd w ostatniej chwili. Widziałem później, jak dróżka zamieniła się w rwący potok.

J.S.: A czy był Pan równie wrażliwy na udokumentowanie zróżnicowania i piękna otaczającej przyrody?

J.F.: O tak, mam bardzo dużo zdjęć przyrodniczych z różnych stron świata, bo sporo podróżowałem. Na przykład mam takie dwa ciekawe ze Spitsbergenu: jedno jest dosyć pospolite, bo jest na nim stratus, który dzieli świat na dwie połowy smugą cienia (ryc. 10), a na drugim jest biała tęcza (ryc. 11), której nigdy więcej nigdzie nie widziałem.

Robiłem zdjęcia także w kanadyjskim Archipelagu Arktycznym, byłem na wyspie Devon, która jest dzika, niemal zupełnie pozbawiona roślinności, a do tego czerwona, bo tam jest mnóstwo permskich i dolnotriasowych czerwonych piaskowców. To one nadają tej wyspie rdzawą barwę, podobną do barwy Marsa. Podobno ćwiczą na niej amerykańscy kosmonauci, którzy zamierzają polecieć na Czerwoną Planetę.

W tej chwili fotografia jest czymś tak pospolitym, że mnie to nawet śmieszy. Ktoś zobaczy coś ciekawego i chwytą za telefon. Komórki mają obecnie część fotograficzną lepszą

←

Ryc. 5. Lulek czarny – Fish Creek k. Calgary, Kanada

Ryc. 6. Mak polarny – Bellsund, Spitsbergen, Norwegia

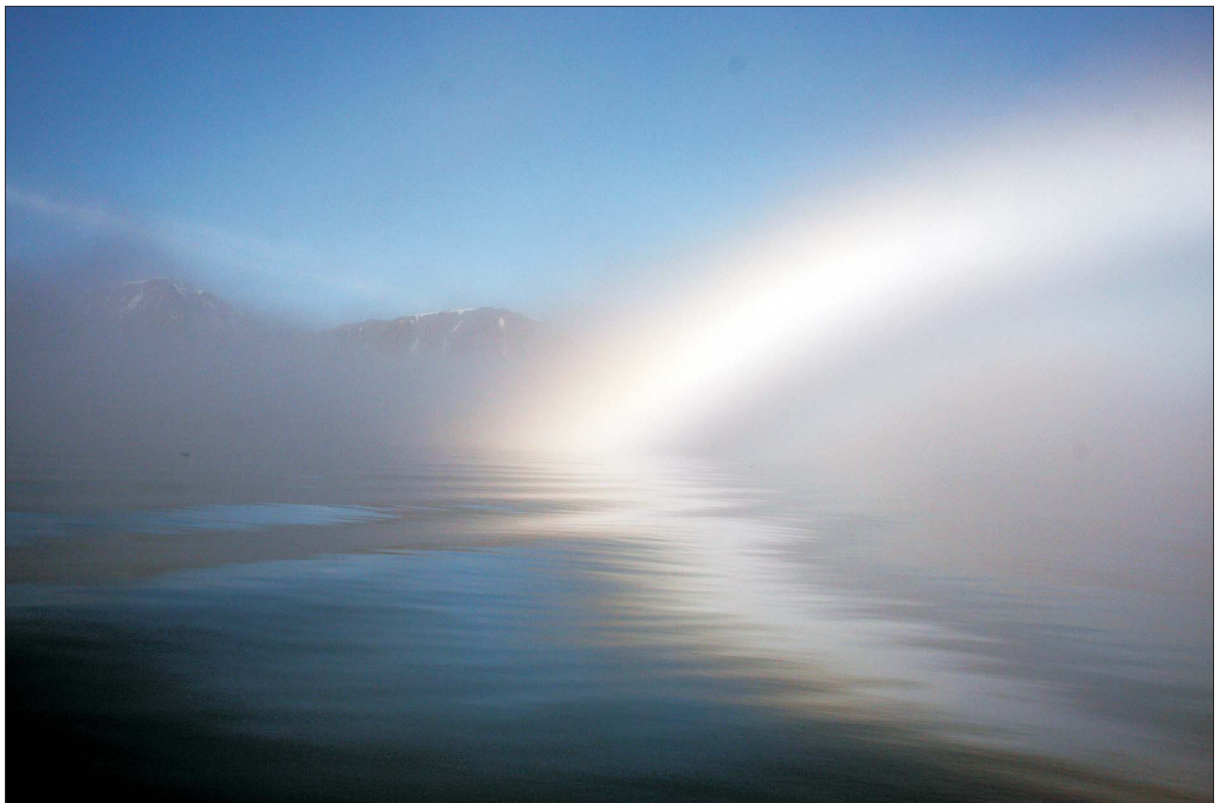
Ryc. 7. Dębik ośmiopłatkowy – Bellsund, Spitsbergen



Ryc. 9. Bagno zwyczajne – Polesie Lubelskie



Ryc. 10. Stratus – Bellsund, Spitsbergen



Ryc. 11. Biała tęcza – Bellsund, Spitsbergen. Ryc. 2–11 fot. J. Fedorowski

niż modele aparatów, które kilka lat temu były nowością technologiczną. Niektóre zdjęcia robione tymi komórkami są nawet interesujące, ale ja jestem tak dalece antykomórkowy, że nie chciałem w ogóle posiadać takiego *udobstwa*.

Dzieci mnie zmusiły, bym brał komórkę do lasu na wszelki wypadek.

J.S.: Dziękuję za rozmowę.